Rok I. Lwów, środa 21. sierpnia 1907. Nr. 178.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

REDAKTOROWIE: ST. TOKARSKI i ST. BRANDOWSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE: miesięcznie . . . . . 50 h; „ z dostawą do domu 1 K; numer pojedynczy . . 2 h

NA PROWINCYI: mies. z przes. poczt. . 1 K; kwartalnie . . . . . . 3 K; numer pojedynczy . . 4 h

NR. TELEFONU REDAKCYI: 982. NR. TELEFONU ADMINISTRACYI: 977.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. Redakcya: Lwów, Podwale 7. Administr.: Lwów, Krzywa 6. Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 h.

Co dzień niesie?

Ukazał się właśnie pierwszy numer niemieckiego dwutygodnika, poświęconego sprawom osiadłych w Galicyi Niemców. Tytuł tego pisemka jest *Deutsches Volksblatt für Galizien*, a pisze ono w swoim programie co następuje:

„Jako nieistniejący i umarli są dla nas nasi rodacy w Galicyi. Wielu z nas nie wie, jak się powodzi braciom i siostrom, którzy, powołani do Galicyi dla rozszerzania niemieckich obyczajów dzielą z nami los jednakowy; gdzie oni są i jak walczą o drogie odziedziczone skarby, niemiecką mowę, o obyczaje i niemiecką ziemię. Często można czytać, że odłam niemieckiego plemienia, który cesarz Józef II. osadził w Galicyi, nie jest już żywotnym. Chwała Bogu tak nie jest!

Przecież istnieje w Galicyi jeszcze więcej niż 200 osad niemieckich. Perłami są one w kraju. Podróżni, którzy odwiedzili niemieckie osady, opowiadają, że niemczyzna uciskaną jest w wielu miejscowościach. Opowiadają oni, że znaleźli Niemców którzy zupełnie nie wiedzą, do jak wielkiego narodu oni należą, jaką wartość ma niemiecka mowa i niemieckie obyczaje. Nieraz wstydził się niejeden z Niemców przyznać się do niemczyzny“.

Temu wszystkiemu chce pisemko niemieckie dla Galicyi zapobiedz!

Pismo ślubuje bronić praw języka niemieckiego, budzić miłość dla ziemi ojczystej, do której przybyli tylko w tym celu, aby chłopu galicyjskiemu pokazać, jak się prowadzi wzorowe gospodarstwo; postanawia być pośrednikiem w kupnie i sprzedaży, w poszukiwaniu zajęcia między Niemcami. Pismo chce nauczyć Niemców i nadal utrzymywać niemiecką (?) ziemię, aby nie musieli z niej uciekać, kiedy chcą zachować swoją niemczyznę.

Takim jest cel i zadanie tego pisemka, na które my, Polacy, patrzyć musimy z niechęcią, ale musimy i podziwiać, jak zapobiegliwi, jak niezmordowani są Niemcy w pracy około utrzymania swej narodowości. Idą z pochodnią narodowej oświaty aż do zapadłej Galicyi, do tego okrzyczanego przez nich Bärenland, i tu pracują nad utrzymaniem dla siebie tych paru tysięcy niemieckich kolonistów, aż tu docierają i krzewią ideę narodową i miłość do odległej, wielkiej ojczyzny niemieckiej!

Nam brać z nich tylko przykład, nam wstępować w ślady tych ludzi, którzy dlatego są tacy wielcy, tacy potężni, ponieważ wiedzą i rozumieją to, że w tem zjednoczeniu niemieckiem, świat cały obejmującem, leży ich wielka siła i ich przewaga nad tylu innymi narodami.

My we własnym kraju narodowości naszej utrzymać nieumiemy. Nieumieliśmy we własnym kraju obronić się przed gadami, które nam wydzierają z serca miłość ojczyzny, niszczą wiarę w nasze ideały i zohydzają religię. Największych wrogów naszych wybraliśmy posłami do parlamentu, mówiąc niejako tem samem do świata całego: ci są najprzedniejsi w narodzie naszym! ci są ideałami myśli i dążeń naszych!

Jakżeż my biedni i nędzni jesteśmy w porównaniu z tymi Niemcami, którzy nie o swój byt w ojczyźnie własnej walczą, ale o to się troszczą, aby swoje ideje krzewić jak najdalej poza granicami rodzinnego kraju!

Na śmierć stratowany.



U nas i na świecie.

Dwie klęski nawiedzą podobno nasz nieszczęśliwy kraj.

Pierwsza, bliższa — to głód — który wyszczerzył już swe zęby.

Żniwa pokończone — a wypadły one

w $^3/_4$ całkiem źle.

We wschodniej Galicyi tysięcy morgów żyta ozimego przeorano — a tam — gdzie go nie przeorano — uzyskano zbioru

po 15—20 snopów z jednego morga.

Zboża jare i owsy są także bardzo liche, jęczmień prawie średni — a najgorzej, że ziemiaki zawiodły najzupełniej.

Z czego więc lud ma zimę przetrzymać?

Z czego, gdy mu zabraknie chleba i ziemniaków.

Trzeba działać i to rychło w czas.

Każdy powiat powinien już teraz sporządzić dokładny wykaz szkód i potrzeb ludności i z tym materyałem odnieść się do Sejmu. W wykazach takich powinny znaleźć miejsce przypuszczalne obliczenia: a) ile zboża brakuje na jesienne zasiewy, b) ile niezbędnych artykułów jako to zboża, ziemniaków i t. d. potrzeba dla uchronienia najuboższych przed klęską głodu, c) ile słomy, opału itd. brakuje, aby najnędzniejsi mieli nie te same wygody, ale tylko niedostatek taki sam jak ubiegłej zimy. Dopiero po takiem obliczeniu, po takiem ujęciu rozmiarów klęski, będzie można mówić o zaradzeniu złemu.

Druga klęska dalsza może i niewyraźnie jeszcze zarysowująca się —

to cholera,

która strasznym i szybkim krokiem zbliża się w nasze strony.

Jak telegramy wczoraj doniosły — zabiera ona już ofiary w Brześciu litewskim.

W Rosyi miano zastosować wszelkie potrzebne środki do walki z tą epidemią. Gubernator włodzimierski powiększył dozór sanitarno-policyjny, a ziemstwo na koszta pomocy dla chorych zaciągnęło pożyczkę 50.000 rubli. Na stacyach węzłowych kolei riazańsko-uralskiej powołano do życia sanitarno-wykonawcze komisye. Gubernator kazański takież komisye utworzył w Kazaniu, w Czystopolu i we wszystkich powiatach. Zarząd miasta Odesy powiększył skład lekarzy sanitarnych, buduje baraki izolacyjne i zwiększył dozór nad sprzedażą produktów. Zarząd miasta Kijowa postanowił przystąpić do budowy baraków i powołuje lekarzy i sanitaryuszów.

W Berlinie

na naradzie w ministerstwie spraw wewnętrznych w sprawie środków zapobiegawczych przeciw zawleczeniu cholery, postanowiono w danej chwili zastosować przepisy, jakie obowiązywały w jesieni 1905 r., ze szczególnem zwróceniem uwagi na kontrolę żeglugi na rzekach pogranicznych.

Także i w Warszawie,

z powodu pojawienia się podejrzanych wypadków choroby w Brześciu litewskim i obawy zawleczenia cholery w granice Królestwa Polskiego, zarządzono środki ochronne na stacyach kolejowych, leżących na granicy Królestwa Polskiego i Rosyi.

Przedewszystkiem rozciągnięty będzie ścisły dozór nad towarami, przybywającymi z Rosyi z miejsc już zakażonych lub podejrzanych o cholerę. Poddawani mają być również oględzinom przewodnicy bydła, przywożący je z Ukrainy, Podlesia i Besarabii. Na niektórych stacyach po tamtej stronie zarządzono bezpłatne wydawanie wszystkim podróżnym wody przegotowanej.

Wreszcie władze kolejowe porozumiewają się co do zarządzeń ochronnych i zapobiegawczych na rzekach z okręgiem komunikacyi lądowych i rzecznych, a specyalnie w celu możliwej ochrony od zakażenia cholerą Muchawca i Bugu, co rozniosłoby epidemię po całym kraju.

Równocześnie po wszystkich stacyach kolei nadwiślańskich rozesłano i w pociągach umieszczono już specyalne apteczki choleryczne, zaopatrzone we wszelkie środki lecznicze i przybory do doraźnego ratowania chorych, oraz w drukowane instrukcye lecznicze desynfekcyjne. Takich apteczek przygotowano 200.

Na stacyach zaś, posiadających punkta lekarskie, ustanowiono 22 posterunków dezynfektorskich, obsługiwanych przez specyalnie ukwalifikowanych felczerów, zaopatrzonych w aparaty dezynfekcyjne najnowszej konstrukcyi według pomysłu instytutu dezynfekcyjnego w Kasselu.

Tylko u nas

nie wydano dotychczas żadnego zarządzenia.

Obyśmy i w tym wypadku zapóźno do roboty się nie wzięli.

Z Paryża donoszą

dzięki niedyskrecyi sfer dobrze poinformowanych, że podczas zjazdu cara Mikołaja z cesarzem Wilhelmem w Swinemünde, cesarz Wilhelm miał pozostawić carowi swobodę wszelkich kroków na wspól z Anglią w Azyi środkowej, pod warunkiem, aby się do niczego nie angażował w Azyi Mniejszej. Nawzajem Niemcy oddały się do dyspozycyi Rosyi na wypadek

komplikacyi w Królestwie Polskiem

lub w prowincyach bałtyckich. Cesarz Wilhelm dalej miał zobowiązać cara, ażeby rządził tylko przy pomocy Dumy agraryuszowskiej i zwrócił uwagę jego na konieczność reform w armii, która już nie jest pewna. Nawet dał carowi plan uchwycenia armii rosyjskiej napowrót w żelazne karby dyscypliny.

116

MICHAŁ WOŁOWSKI.

ŚLADEM ZBRODNIARZY

ROMANS NA TLE STOSUNKÓW WARSZAWSKICH.

— Owszem, zdecydowany jestem pana słuchać — zawołał Klings, przygryzając wargi, którego to chłodne odezwanie się Eberskiego, do równowagi nieco doprowadziło i zmusiło do zastanowienia nad sytuacyą.

Eberski nie zaraz odpowiedział mu na jego słowa. Dawny spryt odżył w tym starcu, wiedział on, że pierwszemu wybuchowi Klingsa należy dać pewną folgę, a dopiero potem wejść z nim w układy...

— Otóż nasuwa się przedewszystkiem pytanie, czy chwilowa zemsta, jakiej pan pragniesz zadość uczynić, przyda się mu na co, czy ona nas dotknie, czy nas zmaltretuje, zgnębi, a tem samem, czy pana zadowoli?

Ta zimna krew Eberskiego mieszać poczęła szyki Klingsowi; mniemał on, że odkryciem tajemnicy tak zmasakruje sobie nienawistnych ludzi i pogrąży ich w rozpaczy, iż nie będą zdolni ani jednego słowa wypowiedzieć.

Z początku zdawało mu się, iż tego celu zupełnie dopiął względem Eberskiej, nie udało mu się to jednak zupełnie z jej mężem, którego zimna krew i pewność siebie dodały także otuchy i jej samej.

Pomimo tego jednak, iż bystrym swoim wzrokiem ocenił dostatecznie, iż cios jego jest chybiony, z uporem właściwym swojej rasie chciał się na stanowisku utrzymać i utrzymał.

— Pan twierdzisz — zawołał — że ja nie dopnę tego, co zamierzyłem, a no, zobaczymy.

— Już widzimy — chłodno odparł Eberski.

— Że pan wobec tego, com ci powiedział, zdajesz się być obojętnym?

— Tak, rzeczywiście takim jestem.

— Ale czy będziesz pan takim jutro?

— Zapewniam pana, że będę.

— Kiedy cię ludzie zaczną wytykać palcami?

— Tak.

— Kiedy pluć na ciebie będą?

— I wtedy nawet.

— Toś pan gorszy od żyda, bo i żyd tegoby tak obojętnie nie zniósł.

— Jak jaki.

— Nie, żaden.

— Mniejsza o to, nie będę się z panem spierał. Nie twierdzę jednak, aby mi to sprawiło szczególniejszą przyjemność, gdy pan podobne brudy, zresztą bardzo wątpliwej wartości i mocno podejrzane, wywłóczać będziesz przed oczy ludzkie.

— A, przecie, żeś pan raczył przyznać.

— Przyznaję wszystko, co rozumne i logiczne. W każdym razie nie przestaję twierdzić, iż całe pańskie usiłowanie na nic mu się nie przyda.

— Więc wedle pańskiego rozumienia rzeczy, cóż mam uczynić ja, pański wróg śmiertelny, pański nieprzyjaciel, z wiadomością, którą zdobyłem?

Eberski ruszył ramionami.

— Czy mam powiedzieć: „panie Eberski, tyś łotr, ożeniłeś się z kobietą lichego prowadzenia, kradniesz szacunek ludziom, ale ja, któregoś skrzywdził, darowywam ci w zupełności twoją przeszłość, owszem milczeniem dopomagać ci będę do pokrycia tych brudów, z których dzięki moim pieniądzom wydostałeś się na wierzch“.

Całej tej tyrady Eberski wysłuchał z równie zimną krwią, jak i wszystkiego, co przedtem wyszło z ust Klingsa. Ta zimna krew tak dalece uspokajająco wpływała na Klingsa, że i ten ostatni, zacząwszy swoje frazesy z energią, skończył je prawie że ślamazarnie.

Po małej pauzie Eberski znów się przeszedł po pokoju, jakby się zastanawiał nad tem, co usłyszał przed chwilą od Klingsa i nareszcie znów stanął przed nim, oczy swoje w jego źrenicach utopił i odparł:

— Tak toby było najrozsądniejsze.

— Pan chyba drwisz sobie ze mnie.

— Nie, mówię zupełnie seryo.

— No więc się dowiedz, że ta myśl ani na chwilę w głowie mojej nie postała.

— Wiem o tem aż nadto dobrze, znajdujesz się pan bowiem w usposobieniu rozdrażnionem, nie łatwo więc z panem do ładu dojść będę w stanie.

— Trzydzieści parę lat jestem w tem nerwowem rozdrażnieniu, mój panie!

— To wystarcza, aby zrozumieć pańskie gwałtowne wystąpienie, ale to nie przeszkadza temu, aby trafić z panem do końca i do ładu.

— Tak pan sądzisz — zawołał z przekąsem Klings.

— Jestem tego pewny.

— Proszę więc, zmierzaj pan do tego końca, gdyż zaczynam się już niecierpliwić.

— Rozdrażnienie pańskie, jeśli mnie pamięć nie myli, datuje się od tej nieszczęśliwej chwili, w której pan miałeś ze mną interesa...

(C. d. n.)

Nadto przedmiotem długiej rozmowy było finansowe położenie Rosyi, natomiast nietykano wcale sprawy sojuszu francusko-rosyjskiego.

Przewódcy socyalnej demokracyi obradujący w Sztuttgardzie, przeprowadziwszy dyskusyę nad kwestyą militaryzmu, uchwalili rezolucyę Bebla, która określa, iż wojna leży w interesie kapitalizmu. Zwalczanie zbrojeń jest obowiązkiem robotniczych parlamentarzystów, a kongres widzi w demokratycznej organizacyi wojska ważną gwarancyę zapobieżenia wojnom. Jeżli będzie groził wybuch wojny, to robotnicy parlamentarzyści powinni użyć wszelkich środków, aby jej wybuchowi przeszkodzić, a w razie wybuchu powinni starać się o rychłe jej zakończenie.

Zdaje się jednak, że do uchwał tych nie zastosuje się wojna marokkańska — gdyż francuskie wojsko w Casablanca musiało znowu 18. b. m. od godziny 7-ej rano do 12-tej w południe odpierać bardzo silne ataki Marokkańczyków. Walka toczyła się na froncie, długim 6 kilometrów. Ataki odparto ogniem z mitraljez i karabinów. Francuzi walczyli również z blizka z Arabami. Po stronie francuskiej ranni zostali kapitan i 2 żołnierzy, dwaj żołnierze polegli, 12 zaś odniosło obrażenia, skutkiem których nie mogli brać udziału w dalszej walce.

O narodowej organizacyi robotników.

(II). Jeżeli zatem zważymy, że dotychczasowa organizacya robotników służy bardziej do celów partyjnych i na jej czele stoją ludzie ściśle zależni od Wiednia i w liczebnej do niego mniejszości, to przekonać się musimy, że interes i potrzeby robotnika polskiego w Galicyi, są również zależne od centralnego Związku we Wiedniu i mogą być tylko uwzględniane w bardzo szczupłych granicach, bez narażenia interesu robotnika niemieckiego.

Tem też można sobie tłumaczyć, że jeszcze nigdy nie były podnoszone przez posłów socyalistów potrzeby największej wagi i piekące sprawy robotników w Galicyi, jak n. p. reforma i powiększenie liczby szkół zawodowych, powiększenie liczby, należyta opieka i potrzeba reformy szkół przemysłowych, reforma szkół dopełniających, zrównanie płac robotnika kolejowego Galicyi z robotnikiem Czech i zachodnich niemieckich krajów austryackich, podniesienie przemysłu w Galicyi i wiele innych i ważnych i najżywotniejszych spraw, obchodzących bezpośrednio robotnika galicyjskiego.

Kiedy tak jaskrawy obraz krzywdy robotnika polskiego przesuwa nam się przed oczyma, to dojść musimy do wniosku, że jest obowiązkiem narodowym ująć w rękę sprawy rękodzielników wszystkich zawodów, sprawy robotników, kolejarzy i t. d. i pchnąć je na tory narodowe z równoczesnem podniesieniem ich bytu ekonomicznego i kulturalnego.

Rzecz jasna, że na barkach licznych rzesz ludu wiejskiego i roboczego spoczywa nasza przyszłość, spoczywa los przyszłej niepodległości Polski. — Kto więc pragnie odrodzenia Ojczyzny, ten musi dążyć do polepszenia doli chłopów i robotników. Gdy im będzie dobrze, będzie dobrze w kraju. Widzimy więc, że sprawy ekonomiczne, które dotychczas socyaliści wzięli w arendę, są dla nas nierozłączne z narodowemi, i dadzą się tylko wspólnie z niemi (a nie rozdzielnie jak chcą czerwoni krzykacze) załatwić. Dopomódz do tego może i musi „Organizacya Narodowa Robotników“. Ich więc losem przedewszystkiem powinni się zająć polscy posłowie, nie ogladając się na dobry lub zły humor socyalistów i Centr. Związku we Wiedniu, dbającego naturalnie przedewszystkiem o robotnika niemieckiego.

Dotychczasowa praca socyalistów opiera się na podburzeniu robotnika przeciw źródłom, zkąd robotnicy czerpią swe dochody, a podburzają oni bezwzględnie, bez zastanowienia się nad tem, że takie źródła na razie istnieć muszą, ażeby dać życie masom robotniczym. Przez ciągłą walkę, przez rzucanie fałszywych haseł doszło się do demoralizacyi i zaniku poczucia obowiązku, o którym robotnikom Polakom zapominać nie wolno. Robotnicy polscy właśnie pamiętać powinni, że wiele jeszcze pracować nad sobą muszą, ażeby stanęli na tym punkcie fachowego uzdolnienia, na jakim stoją robotnicy innych narodów. Przecież jesteśmy cząstką narodu, który nieposiada bytu politycznego, i dlatego jest obowiązkiem polskiego robotnika stać się tem wzorowszym pod względem sumiennej pracy, pod względem fachowego uzdolnienia, ażeby zdobyć sobie odpowiednie stanowisko w szerszem świecie.

Dalej rozbierając szczegółowo robotę socyalistów, przekonamy się, że polepszenie doli robotnika, co oni sobie swoją zasługą przepisują, jest, jak dotąd dawką morfiny dla chorego człowieka, a nie radykalnem lekiem. Robotnicy wobec wzrostu drożyzny stoją pod względem materyalnem na tem samem punkcie, a kto wie, czy nie na gorszym, co przed laty.

Nie padła u nas jeszcze ani jedna zdrowsza myśl, choćby naprzykład o zakładaniu fabryk lub większych warsztatów na podstawie sił wspólnych, choćby za te setki tysięcy, które rzucamy w nienapełniony wór Centr. Związku we Wiedniu, po to, ażeby krzewić niezgodę przeciw klasom i deptać każdą szlachetniejszą myśl i robotę. Rzecz to zresztą naturalna, bo każda robota korzystniejsza dla kraju jest sprzeczną z interesami krajów niemieckich, i dla tego nie o dolę robotników socyaliści nasi walczą, ale o ich grosz i o swoje własne egzystencye. Bo spojrzmy tylko wielu to prowodyrów pędzi próżniacze życie, bez żadnego zajęcia, a wszyscy w dostatku i w zbytkach. Spojrzmy na nich z blizka i z osobna, jaki z każdego z nich wielki człowiek i jaki dostatek go otacza, i spojrzmy na tych krzykaczy we Wiedniu, jakie oni tam hulaszcze prowadzą życie, usunąwszy się z pod kontroli „wyborczej hołoty“, jak między sobą nazywają robotników.

Żeniaczka na wyspach afrykańskich.

Osobliwy zwyczaj zawierania małżeństwa panuje wśród plemienia Sulka na wyspie zagrabionej przez Niemcy w Afryce i ochrzczonej przez nich nazwą: Neupommern (Nowopomorze). Tam dziewczyna wybiera sobie męża, czyli, jak mówią krajowcy obrazowo: „kładzie, serce na mężczyznę swego wyboru“. Z regu y przebieg dziejów przedślubnych jest następujący. Dziewczyna spowiada się ojcu lub któremu z poważniejszych wiekiem krewnych ze swego uczucia, na co ów odpowiada: „Czekaj duszko, zaprosimy go do siebie, i będziemy gadać za tobą“. Następnie ów ojciec lub opiekun wali do młodego człowieka i stawia mu propozycyę ożenku. Jeśli kawaler się zgadza, wówczas ambasador dziewczyny prowadzi go na jej podwórko, gdzie ona już czeka z misą prażonego „taro“ i łańcuchem korali, do noszenia na szyi. (Także symbol niewoli — małżeńskiej). Młodzieniec spożywa dar Boży, a łańcuch deponuje w rękach swoich rodziców lub krewnych. (Dowcipna jucha!) Ci nawzajem wręczają mu podarki dla oświadczającej się o jego rękę dziewicy, a ona te dary znowuż swoim rodzicom oddaje. To jest pierwszy akt sztuki „Przed ślubem“. Potem wybraniec zostaje na zagrodzie swego teścia *in spe* i pomaga mu koło gospodarstwa; obaj sadzą wspólnie banany na zapas dla młodego stadła, i oznaczają dzień właściwych zaręczyn. W dniu tym zbiega się w zagrodzie panny młodej ogromna ciżba krewnych i przyjaciół, a także ciekawych podobnie zresztą jak w Europie. Ojciec narzeczonej bierze ją za rękę i prowadzi do zagrody rodziców oblubieńca; towarzyszy im cały orszak przygodnych widzów. Następuje ceremonia oddania dziewczyny rodzicom nowożeńca i uroczyste zarznięcie świni, poćwiartkowanie i rozdanie kawałkami między obecnych.

Odtąd narzeczona nazywa się „a mogeang“ i rozpoczyna życie w zupełnem odosobnieniu, coś w rodzaju rekollekcyj, które trwają czasem parę miesięcy. W chacie rodziców narzeczonego stawiają przepierzenie i tworzą osobny przedział, w którym przyszła żona zamyka się „zdala od świata“. Jedyną jej towarzyszką jest druga młodsza od niej dziewczyna, która spełnia wszystkie czynności domowe, robi porządki i t. d. gdyż „samotnicy“ nie wolno tknąć niczego. W czasie narzeczeńskiego odosobnienia wolno jej spożywać tylko pewne specyalne potrawy, a broń Boże, aby padło na nią oko mężczyzny. Jeżli koniecznie z chaty wyjść musi, to okryta od głowy do stóp białą płachtą — jak jaka pokutnica — a przytem po drodze musi głośno gwizdać, aby jej mężczyźni zawczasu ustępowali z drogi, tak samo, jak w Europie ustępują przed gwizdawkami cyklistów. Gdy wreszcie upłynie wyznaczony czas rozmyślań i rozważań samotnych, następuje huczne wesele. Dodać należy z ubolewaniem — że nie kulturny ten lud nie zna zwyczaju odbywania podróży poślubnych n. p. do Szwajcaryi, Włoch, albo Paryża, nie odczuwa przyjemności wyrzucania pieniędzy za granicą, ale siedzi i kocha się w domu. Barbarzyńcy!

Na życie i na śmierć.

Na Jagiellońskiej ulicy jest sklep, z którego ustawicznie rozchodzą się ryki gramofonów, orchestryonów i innych samogrających maszyn piekielnych.

Przystanąłem przed tym sklepem i spoglądałem po gębach zdumionej gawiedzi, która zrozumieć nie mogła, w jaki sposób z gardła blaszanej trąby tak wyraźnie choć z pijacką chrypką dobywa się głos męski, śpiewający czule:

— Ja kocham cię, na życie i na śmierć!...

Wśród sporej gromady gapiów zauważyłem biednie ubraną dziewczynę, o zabłoconych nogach i upierzonej głowie. Znałem ją. Była to służąca mojego dawnego dozorcy domu. Bo pani dozorczyni, mając męża woźnym w dyrekcyi skarbu, a sama odziedziczywszy po matce grunt i dom za Janowską rogatką, uznała za rzecz niżej swej godności, chodzić po wodę do wodociągu i po węgle do piwnicy, a także on ani ona nieotwierali w nocy bramy lokatorom, tylko musiała to robić Hania, która pół szpery zatrzymywała sobie a pół oddawała swym chlebodawcom. Ten dochód był też jedyną jej nagrodą za ciężką u pani dozorczyni służbę — i widocznie dziewczyna musiała jakoś wychodzić na swoje, bo wytrwała na tem stanowisku już ośm lat, zawsze wierna, potulna i pracowita.

Hania dochodziła już czterdziestki, była suchą, małą, i twarz miała zeszpeconą bliznami ospy. Przytem zielonkowate oczy i garbaty, podobny do haczyka nos dopełniały tej arcyniemiłej powierzchowności.

Ale w tej chwili Hania nie zrobiła tak odpychającego wrażenia. Zasłuchana w wydobywającą się z blaszanej gardzieli aryę:

— Ja kocham cię, na życie i na śmierć!...

Promieniała dziewczyna jakąś nadziemską ekstazą, nozdrza jej się rozdymały jakby od miłosnej namiętności, a oczy to połyskiwały lubieżnie, to przesłaniały się jakby mgłą niewypowiedzianej rozkoszy.

Gramofon ukończył swoją produkcyę, wśród gawiedzi powstał ruch, a ja począłem się przeciskać, aby pójść dalej swoją drogą.

W tem ktoś zatrzymał mnie za rękaw i słyszę koło siebie, a raczej przed sobą nieśmiałe: proszę pana...

Była to Hania, czerwona i drżąca jak jaworowy liść na listopadowym wietrze.

— Proszę pana... — powtórzyła jeszcze raz i urwała zduszona jakiemś, jak przypuszczam, ludzkiem naduczuciem.

— To ty, Haniu? O cóż ty mnie tak prosisz? — spytałem dziewczynę.

— Proszę pana, co kosztuje taki blaszany śpiewak? — spytała mnie ze wzruszeniem kury, która pierwsze jajo w życiu zniosła.

— Albo ja wiem? Są różne, za 10 albo za 15 guldenów.

Hania sięgła szybko do kieszeni i podała mi trzy papierowe piątki.

— Proszę pana, niech mi pan kupi takiego śpiewaka, bo ja się wstydzę tam wejść do sklepu — zawołała błagalnym głosem.

— A tobie naco takie głupstwo? — spytałem jej, wchodząc do bramy gdzie żydowski teatr, aby módz ją swobodnie wyindagować.

Obtarła twarz fartuchem, jakby chciała zetrzeć z policzków straszne wzruszenie, i mówiła drżącym głosem:

— Naco mi to?... Widzi pan, ja już tak długo żyję, a jeszcze żaden mężczyzna mi niemówił o kochaniu. Trafiali mi się, ale tacy paskudziarze, co to zaraz by chcieli... Ale takie kochanie, jak ta trąba o niem śpiewa, niezdarzyło mi się nigdy. Więc ja chcę sobie kupić, a w niedzielę, gdy dozorczyni z dziećmi wyjdzie na Grodeckie do swojej chałupy, ubiorę się w białą sukienkę i w niebieską bluzkę, nastawię tego śpiewaka, i będzie mi się wtedy zdawało, że mam chłopca, który mnie kocha i tak ładnie o swem kochaniu mi śpiewa: na życie i na śmierć!...

Ta dziewczyna aż się słaniać poczęła z rozkoszy, a potem mówiła dalej:

— Widzi pan, mam dwadzieścia dwa guldeny, com je sobie przez ośm lat po piątaku uszparowała. Teraz chcę mieć taką uciechę, że o niej po nocach myślę i ani spać nie mogę...

Poszedłem z Hanią do sklepu i po wielkim targu kupiliśmy za 20 guldenów używany już, ale dobry jeszcze gramofon, który „Ja kocham cię" wył jak zgłodniały cerber, chrapiąc raz po raz, zapewne od nadmiaru wzruszeń w blaszanej piersi.

I nie widzę w tem nic złego, że biednej dziewczynie dopomogłem do takiego zmarnowania jej długoletnich oszczędności. Ten szerokopyski trubadur nie oszuka jej przynajmniej, niepowtórzy swych zaklęć miłosnych i innej kobiecie, nie sprzeniewierzy się brzydkiej, a głodnej miłości Hani.

A miłość sama jest iluzyą. Każdy inaczej ją sobie przedstawia, każdy w innej pożąda ją formie. Więc rozumiem, że i Hania będzie się czuła szczęśliwą, gdy w białym kostyumie stanie przed szczodrą paszczą gramofonu, i jego zaklęć miłosnych słuchając, słuchać i marzyć będzie o tem wielkiem na śmierć i na życie kochaniu.

Sądny dzień w Casablanca.

Współpracownik dziennika *Daily Mail* opowiada jako naoczny świadek następujące szczegóły z dnia zbombardowania nieszczęsnego miasta Casablanki: „Ostatnia sobota i niedziela przeszły w mieście spokojnie. Wówczas to odważyłem się w towarzystwie pewnego Anglika zapuścić się kilka kilometrów w głąb kraju, niezapokojony niczem; w mieście również nikt nie przewidywał wiszącej w powietrzu burzy. Wieczorem w niedzielę każdy szedł też z lekkiem sercem na spoczynek.

Mieszkałem w „Hotelu hiszpańskim" z jednym tylko misyonarzem dr. Kerrem, gdyż inni goście pouciekali z miasta do Tangeru. O 4-ej jednak godzinie rano zbudził nas ze snu posłaniec naszego konsula, wzywając do pospiesznego schronienia się w budynku konsulatu.

Przybywszy na miejsce, udaliśmy się na dach domu, obserwując okolicę, gdy w tem spostrzegliśmy — a było to już o świcie — dwie łodzie z załogą w towarzystwie francuskiej „Galilée", pełną parą zmierzającej ku portowi.

Pojęliśmy sytuacyę. Rozchodziło się o poddanie się Muley Emina wojskom europejskim, w przeciwnym bowiem razie, jako rekompezatę za mordy na Europejczykach, miało być miasto wydane na pastwę granatów i bomb.

W ulicach widać było niezwykłe, gorączkowe ożywienie. Małe i większe oddziały mauryjskich żołnierzy przebiegały z bronią, lub bezbronne; miasto jednak i inni jego mieszkańcy spoczywali, pogrążeni jeszcze we śnie.

Nagle rozległ się huk wystrzału armatniego. To Maurowie dawali z bateryi znak „Galiléi", że oporu nie myślą zaprzestać.

Na to hasło rozpoczęła „Galilée" wściekłą kanonadę. Podniosły się na masztach francuskie i hiszpańskie sztandary flagowe... w mieście wszystkie domy europejskie i konsulaty wywiesiły swe barwy dla oryentacyi bombardujących. Bateryа Maurów nie próżnowała jednak. Siną atmosferę globu przecinały ogniste, ziejące dymem i ogniem, śmiercionośne granaty, kierowane jednak nieprawną ręką, chybiały celu. Skoro zaś „Galilée" zwróciła swój ogień przeciwko bateryi, po krótkiem sprzeciwianiu się musiała ta zamilczeć.

Już dzień przedtem, znaczny oddział żołnierzy francuskich obsadził francuski konsulat. Obecnie zajęli oni miejsca na dachu i rozpoczęli gwałtowny atak, strzelając głównie na część miasta graniczącą z konsulatem.

Ziemia jęczała od pękających granatów, z ogłuszającym hukiem waliły się w gruzy zdruzgotane domy... jęki rozszarpywanych szrapnelami... prawdziwy obraz piekła. Cały glob zasłoniły chmury białego dymu.

Ciężko zranieni wlekli się na czworakach w odleglejsze ulice, byle cofnąć się od miejsca zniszczenia, niezranieni uciekali z krzykiem przerażenia na wszystkie strony. Beduińscy oficerowie w białych burnusach przebiegali w popłochu na spienionych koniach, za nimi w popłochu rozbite oddziałki Maurów.

Nagle umilkły obie strony.

Było to jednak złudzeniem.

W kilkanaście minut rozpoczęła się na nowo bombardacya i trwała aż do zmierzchu.

Wówczas z okolic pościągały się gromady Maurów i z wyciem, krzykiem, bojowymi okrzykami wpadły do miasta, by rabunkiem dokonać dzieła zniszczenia. Skoro ogień bateryj europejskich ustał widać było w mieście tłumy walczące między sobą o zrabowane towary i sprzęty. Znoszono stosy sukna, bawełny, naczyń, mebli, dywanów, parasoli i tysiąca innych rzeczy.

Jakiś Arab dowodzący rabunkiem siedział na cisawym koniu pod olbrzymim czerwonym parasolem i komenderował spokojnie rabusiami, podczas gdy z dachu hiszpańskiego strzelano doń bez skutku.

Z dalekich gdzieś ulic dolatywał naszych uszu przeraźliwy, rozpaczający krzyk mordowanych i obrabowywanych żydów i jęk matek, którym zabijano dzieci, wołanie o ratunek hańbionych niewiast, wywlekanych za włosy i obdzieranych do nagości z szat.

Co chwila zaś rozgrzmiewał huk wystrzałów, to zabijano tych, którzy stawiali opór. Na pierwszą wieść o rabunku, ściągały corazto liczniejsze rzesze rabusiów, spełniał się bowiem sen każdego Araba: obrabowanie zniszczonego miasta.

Tam, gdzie bowiem nie sięgały strzały Europejczyków, miasto wydane było w zupełności na gwałt i przemoc Arabów, którzy też zniszczenia Casablanki, zapoczątkowanego przez bomby ze statków europejskich doszczętnie dokonali.

KRONIKA.

Kalendarzyk:

We wtorek rzym.-kat. Stefana Kr. — gr.-kat. Dometya.

We środę rzym.-kat. Joanny Frem. — gr.-kat. Jemyłyana.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We wtorek po raz 1-szy (wznowienie) „Wesoła wojna", operetka w 3-ch aktach Jana Straussa, z udziałem pp. Kasprowiczowej, Kliszewskiej, Miłowskiej, Lelewicza, Miłoszy, Sawickiego i innych.

We środę po raz 31-szy „Wesoła wdówka" z panią Schupp.

Początek przedstawień o godzinie w pół do 8-mej wieczorem.

Colosseum Hermanów:

(Pasaż Hermanów, ulica Słoneczna) codziennie o godzinie 8-mej wieczorem przedstawienie; w niedzielę i święta dwa przedstawienia (serya od 16-go do 31-go b. m.). Nowy świetny program.

Ogród Colosseum Hermanów. Od piątku 16-go sierpnia b. r. zupełnie nowy sensacyjny program. Kongres najznakomitszych artystów świata.

W razie niepogody odbędą się przedstawienia w sali.

MIEJSCOWA.

Awantura pod kościołem Jezuitów. Wczoraj wieczorem o 8-mej godzinie jakiś podtatusiały dandys zaczepił stojącą pod pawilonem z fotografiami panią, uważając ją zapewne za zgubę, która szuka uczciwego znalazcy. Ale ledwie dandys ów zdołał zaproponować samotnej damie swe usługi, gdy nadbiegł jakiś młody człowiek, nieproszonego adonisa wyciął w gębę, podał damie rękę i najspokojniej się z nią oddalił.

Nosacizna we Lwowie. Przed kilku dniami sprzedał niejaki Józef Hönig p. Babaczkowi kulawego konia siwej maści. Koń miał pójść na zabicie, a następnie spocząć w żołądkach lwowskich obywateli. Przy sprzedaży nie przedłożył p. H. wprawdzie należytego paszportu, stwierdzającego pochodzenie konia, ale obiecał p. Babaczkowi przynieść w najbliższym czasie. W rzeźni jednak stwierdził weterynarz, że koń jest zarażony nosacizną. Władze miejskie, które prowadziły śledztwo, oddały sprawę policyi, ponieważ Hönig nie chciał wyjawić, gdzie koń przebywał. Obawiał się zapewne, ażeby władze nie kazały zabić innych koni, które przebywały w jednej stajni.

Czciciele Bakchusa. Ze szynku przy ul. Hausnera wyszedł wczoraj Wojciech Studziński, murarz, w towarzystwie dwóch kumpanów. Ale cała ta trójka, najdując się już w stanie podchmielonym, rozpoczęła zwadę ze Studzińskim, w czasie której zadali mu tępem narzędziem ciężką ranę w kark i w głowę.

Eksplozya ropy. W destylarni nafty Maurycego Landesa i Spółki za rogatką Żółkiewską eksplodował wczoraj około godziny w pół do 4-tej popołudniu kocioł z ropą. Szczęściem nie było nikogo w pobliżu, więc obeszło się bez wypadku. Zanim dojechała wezwana telefonem straż pożarowa, robotnicy ugasili ogień, przysypując kocioł ziemią. Powodem eksplozyi było pęknięcie rury w spojeniu, skutkiem czego powietrze dostało się do kotła z rozpaloną ropą.

Nowy obywatel i to bez żadnych ceremonii, przybył dziś nad ranem naszemu miastu. Oto posługaczka Zofia Zaleska porodziła dziś na podwórzu jednej z realności przy ul. Żółkiewskiej syna. Matka i syn są zdrowi.

Doskonała zamiana. Na ulicy Tkackiej bawił się czteroletni Włodzio Stefański trzymając w ręku banknot dziesięciokoronowy. Przechodziła tamtędy jakaś kobieta i dała chłopcu centa a sama w zamian wzięła banknot i spokojnie odeszła.

Rabuś z nożem. Wczoraj około godz. 7-mej wieczorem w ul. Kopernika skradł jakiś rabuś Wilhelmowi Vollenbergowi złoty zegarek i począł uciekać. Okradziony puścił się za nim w pogoń i ścigał go aż do remizy tramwajowej, gdzie kilku przechodni zastąpiło drogę uciekającemu drabowi. Wówczas dobył on z kieszeni nóż, i przerażeni przechodnie zaczęli mu ustępywać. W ten sposób drabł uciekł w ulicę Krzyżową.

Napad. Stefana Czajkowskiego, przechodzącego ul. Kleparowską zaczepiło kilku drabów, żądając pieniędzy na wódkę, a kiedy Czajkowski odmówił, pobili go, a jeden z bandy uderzył go silnie nożem w lewy bok tak, że ostrze ugrzęzło w płucach.

Spłoszone konie. Konie pozostawione bez dozoru na ulicy Łyczakowskiej przez Schlojmę Fischla, spłoszyły się na widok tramwaju elektrycznego i przejechały Salomona Zeisla. Przytrzymano je dopiero w ul. Hausnera.

Patryota z pod ciemnej gwiazdy. Ostatni numer *Illustr. Landwirtschaft. Ztg.* zamieszcza następujący anons, który powtarzamy w dosłownem tłumaczeniu polskiem: „Szuka się dzielnego, energicznego, porządnego polowego do większego majątku we wschodniej Galicyi pod kierownictwem inspektora. Z n a j o m o ś ć j ę z y k a p o l s k i e g o p o ż ą d a n a. Pośredników wyklucza się. Oferty nadesłać pod adresem: *Ekscelencya hr. Koziebrodzki*, Podhajczyki Justynowe, poczta Trembowla wschodnia Galicya".

Do powyższego inseratu dołącza *Dz. Berl.* następującą słuszną bardzo uwagę: Chyba ekscelencya hr. Koziebrodzki nie będzie mógł twierdzić, że w całej Galicyi wschodniej i zachodniej, a w danym razie w Królestwie lub w Księstwie nie mógł znaleźć polowego Polaka. Gdyby się był o niego starał i umiał się z nim obchodzić po ludzku, napewno by znalazł w swojej okolicy. Ale żeby szukać takiego człowieka aż przez berlińską gazetę, a więc oczywiście Niemca i pisać, że znajomość języka polskiego jest nie konieczną, tylko pożądaną, to jest to skandal, który wywołać powinien oburzenie w całej opinii polskiej w Galicyi.

Na Tow. Szkoły ludowej złożył p. Jan Pastuszyński 4 kor.

Apel matki do serc litościwych. Od strony ulicy Trzeciego Maja, w krzakach, niedaleko od straganu, znaleziono wczoraj po godzinie 7-mej wieczorem kilkudniowe dziecię płci męskiej, zapowinięte w białą bieliznę. W poduszce dzieciny znaleziono list następujący: „Ktokolwiek znajdzie to dziecko, prosi go nieszczęśliwa matka, aby oddał je do zakładu „Dzieciątka Jezus". Matka dziecięcia jest bez centa i ciężko chora, więc sama z głodu ginie i nie może zapracować na kawałek chleba, a ojciec dzieciny się wyrzekł i wyjechał do Ameryki. Jeżli Bóg zdrowie wróci, to zgłoszę się po dziecko, może znajdę pracę lub ojciec powróci. Wierzcie mi dobrzy ludzie, że tylko straszna rozpacz zmusza mię do tego, bo mi dziecka bardzo żal, ale nie mam żadnych krewnych ani znajomych, aby mię poratowali".

Związek teatrów i chórów włościańskich. Dnia 19-go sierpnia odbyło się posiedzenie Zarządu głównego „Związku teatrów i chórów włościańskich", na którem wywiązała się ożywiona dyskusya na temat najbliższej pracy. Uchwalono przedewszystkiem wydać w jak najkrótszym czasie katalog sztuk odpowiednich dla teatrów włościańskich, a nadto prawdopodobnie już od września wydawać miesięcznik o objętości 1 arkusza p. t.: „Poradnik dla teatrów i chórów włościańskich". „Związek" przystępuje również do stworzenia biblioteczki dramatycznej i w tym celu zwrócił się do dra L. Bernackiego z prośbą o opracowanie dla teatrów włościańskich dyalogu Piotra Baryki p. t.: „Z chłopa król", oraz do Lucyana Rydla z prośbą o opracowanie dla scen wiejskich jego jasełek p. t.: „Betleem polskie". W końcu adoptowano do Zarządu głównego pp. dr. Bruchnalskiego, dr. L. Rydla, oraz dyr. L. Solskiego.

Nasz reporter pisze:

Podobno w nocy okazuje się teraz kometa na lwowskiem niebie. Ponieważ jeszcze nigdy komeciego ogona niewidziałem, więc dziś całą noc chodziłem po Jezuickim ogrodzie z głową zadartą do góry, aż chycił mnie tężec karku i musiałem rozmoczyć stężałe gardło kilku kieliszkami spirytusu, od których ostatecznie tak mi się w oczach zaćmiło, że już potem komety dojrzeć nie mogłem.

Zato inna rzecz sprawiła mi niełada uciechę. Oto magistrat pozwał owego właściciela pralni, A. R. Fleischla przy ulicy Marcina 30 o to, że dane mu do prania batysty personal jego używa do zupełnie innego celu. Fleischl w magistracie tłumaczył się, że to są batysty specyalnie przez niego dla personalu i do powyższego celu zakupione. U takiego pracodawcy ja sam chciałbym służyć. Bo jeżeli on dba o tak wytworny papier hygieniczny dla swoich ludzi, to inne warunki pracy i życia muszą tam być takie, że nawet nasz reporter lepiej by się czuł u niego, niż w *Gońcu*, który wszystko wie, i wszystko rozumie, a tylko jednego słowa „zaliczka" pojąć i spełnić nie umie.

Z KRAJU.

Wykrycie złodziejki. W Krakowie, jak przed kilku dniami donieśliśmy, okradła niedawno pewna kobieta obywatela ziemskiego, p. W., na kwotę 10.000 koron. Obecnie udało się policyi tamtejszej wykryć sprawczynię tej kradzieży. Jest nią czternastoletnia Józefina Sikorówna, karana już za włóczęgostwo, która okradłszy p. W., zdobycz oddała kochankowi swemu Czepli do przechowania. Aresztowano oboje, a przy Czepli znaleziono jeszcze 8000 koron. Resztę wydała miła ta parka na kupno ubrań i kosztowności.

Przyjaciel Breitera w kozie. Niedoszły kandydat do Rady państwa, syonista dr. Malz, został w Bursztynie zasądzony za rzucane oszczerstwa na osobę tutejszego aptekarza Thürhausa na trzy tygodnie aresztu, względnie 420 koron i poniesienia kosztów. Na rozprawie apelacyjnej w Brzeżanach 14-go b. m., zatwierdził trybunał wyrok sądu powiatowego w Bursztynie.

Ów Malz jest serdecznym druhem Breitera i obie te godne siebie dusze nawzajem się przy wyborach popierały. Ale tylko Breiter, jako większy łajdak, wszedł do parlamentu.

ZE ŚWIATA.

Hypnoterz-włamywacz. Oto nowe zjawisko w żądnej nowości w Ameryce: hypnotyzer włamywacz:

Działo się to w stanie Ohio. Pewnego dnia przybył do mieszkania mr. Artura Croft, podczas jego nieobecności, młodzieniec, ubrany najwykwintniej i przedstawił się pani domu, jako serdeczny przyjaciel jej męża. Po półgodzinnej wizycie, wyszedł, prosząc o pozwolenie odwiedzania domu.

Jakoż po paru dniach zjawił się znowu. W czasie rozmowy, jak zeznawała sama pani Croft w policyi, domniemany przyjaciel jej męża zaczął badawczo na nią spoglądać, co wywołało w niej dziwne uczucia, poczem począł się do niej zbliżać. Co się później stało, nie jest w stanie opowiedzieć, gdyż straciła przytomność. Jedna z sąsiadek zeznała, że właśnie w tym czasie jakiś młody, wykwintnie ubrany pan opuścił mieszkanie pani Croft. Gdy ta po pewnym czasie wróciła do przytomności, spostrzegła z przerażeniem brak wszystkich swych kosztowności, wartości 160 000 fr. Gdy i inne podobne tej kradzieże poczęły dochodzić do wiadomości policyi, zaczęła ona poszukiwania, lecz dotąd bez skutku. Pierwsze wiadomości o hypnotyzerach - włamywaczach przyjmowała opinia publiczna z niedowierzaniem, traktując je jako kaczki dziennikarskie, lecz psychologowie potwierdzili możliwość używania hypnotyzmu w celach występnych.

Straszny czyn obłąkanego. W restauracyi „Bergschlösschen" pod Rauen, w okolicy Berlina, w której przebywają także letnicy na letniem mieszkaniu, rozegrała się okropna tragedya. Właściciel jej, Schneider, dawniej oberżysta w Berlinie, kupił sobie ją niedawno i zamieszkał tam z żoną i teściową. Lokal nie przynosił jednak tyle, jak się spodziewano, liczni goście na letnie mieszkania zawiedli także z powodu niepewnego lata, stąd był Schneider w ciągłem rozdrażnieniu i urządzał żonie przykrości. Doszło do tego, że Schneidrowa opuściła go i zamieszkała w Berlinie, jego samego zaś umieścił ojciec w prywatnym zakładzie dr. Edela w Charlottenburgu. We wtorek wypuszczono go stamtąd jako zdrowego, a że dowiedział się on, że żona wróciła tymczasem do Rauen, pojechał wieczorem tam i w nocy udał się ku domowi.

W pobliżu domu ukrył się i odczekał dopóki szwagier jego nieodszedł, poczem udał się do stajni, wziął stamtąd siekierę, zgruchotał bramę i wtargnął naprzód do sypialni teściowej.

Starą kobietę mordował tak długo, póki nie straciła przytomności, poczem wywlókł ją na podwórze i zabrał 4500 marek. Następnie poszedł do sypialni żony i usiłował zabić ją siekierą. Schneidrowej jednak udało się wyrwać z rąk szalonego i pochwycić rewolwer; ten jednak zdołał ją tymczasem zranić ciężko i zabrać całą gotówkę. Następnie mimo alarmu i pościgu, wpadł Schneider do kuchni, zgwałcił służącą i zniknął w mrokach nocy. Nazajutrz oddał się sam w ręce berlińskiej policyi. Schneider popełnił to wszystko prawdopodobnie w przystępie obłąkania.

Stracenie ośmiu rewolucyonistów. Telegramy doniosły o rozstrzelaniu ośmiu rewolucyonistów w Rydze. Nazwiska ich: Sticzmann, Kieppenwarlitz, Wasdik, Walpe, Weis, Lapping, Selgaw i Lamberg. Jak dzienniki donoszą, wszystkich ośmiu aż do samej egzekucyi utrzymywano w mniemaniu, że zostali ułaskawieni na ciężkie roboty. Dopiero w nocy nad ranem z 12. na 13. b. m. zjawił się w więzieniu prokurator. Wszystkich ośmiu młodych ludzi od 19 do 33 lat, zbudzono i oświadczono im, że zostaną straceni, poczem skuto ich po dwóch kajdanami i przywiedziono przed prokuratora, który zbadał tożsamość ich osób. Następnie zjawił się duchowny protestancki, którego jednak skazani wysłuchać nie chcieli.

Poprowadzono ich potem na miejsce stracenia. Drżących eskortował przez długie ponure podwórze więzienne oddział 88 żołnierzy. U celu czekał już skazańców wykopany wspólny grób. Zdjęto z nich kajdany, aby się pożegnać z sobą mogli, poczem przywiązano każdego do pala, a na głowę wsadzono worki. Prokurator odczytał wyrok śmierci, na który skazani odpowiedzieli: „Bądźcie zdrowi!"

Oddział wojska na komendę oficera dał trzy salwy. Zabitym zdjęto wory z oblicza. Jednego, który dawał znaki życia, dobito wystrzałem z rewolweru. Następnie wszystkich ośmiu odwiązano od pali i zakopano we wspólnym grobie. Egzekucya była skończona.

Uderzenie pioruna w parasol. Dnia 25-go lipca b. r. wybrał się profesor Ivadogoni z 52 niemieckimi i szwajcarskimi studentami na wycieczkę nad jezioro włoskie Lago Maggiore. Podczas drogi zaskoczyła wycieczkowców gwałtowna burza z piorunami. Ponieważ wycieczkowcy nie mieli się gdzie schronić, przeto wśród burzy odbywali dalszą drogę. Naraz piorun uderzył w parasol jednego ze studentów i powalił wszystkich wycieczkowców na ziemię, zabijając trzech z nich, a raniąc czterech.

TELEGRAMY.

Zwołanie sejmów.

Wiedeń. Jak się dowiadujemy, zamierzonem jest zwołanie Sejmów: w Dalmacyi, Galicyi, Austryi górnej i dolnej, Salzburgu, Styryi, Karyntyi i Śląsku, a mianowicie Sejmy dalmacki i dolno-austryacki będą zwołane na 9-go września, inne zaś na 16-go września.

Co do Sejmów morawskiego i bukowińskiego decyzya jeszcze nie nastąpiła. Co się tyczy zwołania Sejmu czeskiego, zwrócono się do czeskiego Wydziału krajowego, który sprawą tą się jeszcze nie zajmował, aby się nią zajął. Zwołanie tego Sejmu nastąpi tylko wtedy, gdyby na podstawie opinii Wydziału krajowego okazała się konieczność załatwienia niecierpiących zwłoki spraw ekonomicznych, zwłaszcza spraw zapomogowych.

Nowy zamach na cara.

Magdeburg. „Magdeburger-Ztg." donosi z Petersburga, iż miano tam odkryć nowy zamach na cara.

Politechnika warszawska przeniesiona.

Petersburg. „Towariszcz" donosi, że przeniesienie politechniki warszawskiej do Nowoczerkaska, zostało już stanowczo postanowione. Otrzymano już nawet na ten cel kredyt w sumie 500.000 rubli z sum wojskowych, 200.000 rubli z funduszów ziemskich i 100.000 rubli z funduszów miejskich. Ponadto mianowano już dyrektora i utworzono komitet budowy. Politechnika dońska mieć będzie 4 wydziały: inżyniersko - melioracyjny, górniczy, mechaniczny i chemiczny. Wydział handlowy otwarty będzie dopiero na końcu. Przyjmowanie próśb rozpoczyna się w tych dniach. Studenci przyjmowani będą na zasadzie egzaminów konkursowych, a to dlatego, że ilość przyjętych ma być ograniczona do 200 osób.

Powstanie Herrerów.

Berlin. Półurzędowe komunikaty donoszą, że w Afryce południowo-zachodniej pojawiły się znowu zbrojne oddziały przywódcy murzynów, Morengi. Wskutek wznowionej w ten sposób rewolucyi murzyńskiej, położenie w kolonii niemieckiej przedstawia się bardzo poważnie.

Berlin. Ostatnie depesze komendanta wojsk w koloniach stwierdzają, że Morenga, którego siły są znaczne, przygotowuje plan groźnego ataku przeciw Niemcom. Należy oczekiwać, że już w dniach najbliższych przejdzie do działań zaczepnych. Skutkiem tego zarządzone już zostały znaczne transporty i przesunięcia sił wojskowych. Zarządzenia wykonane będą w przeciągu tego tygodnia.

Berlin. Z powodu nadesłanych wiadomości o gotującem się nowem powstaniu murzynów w Afryce południowo-zachodniej, zarządzono jak najspiesznieszą wysyłkę wojsk kolonialnych do zagrożonych prowincyi.

Milionowy rabunek.

Warszawa. W Radomiu wtargnęło trzech nieznanych ludzi do kasy państwowego Towarz. Kredytowego i zrabowawszy około 1 miliona rubli, zbiegło. Kilku ścigających ich żołnierzy, rabusie zastrzelili.

Nadesłane.

Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

PRZY BLASKU KSIĘŻYCA.

PRZEKŁAD Z ŻARGONU.

(Dokończenie.)

Stąd mogła obserwować boczne, maleńkie okienko, wsłuchiwać się w każdy dolatujący zeń szmer i patrzeć na szereg biednych domków, okalających głuchą, pustą uliczkę.

Ale teraz wzrok jej zwrócony jest w górę: na szeroki przestwór nieba, skąd ze współczuciem i smutkiem spogląda na księżyc zadumany.

Powietrze ciepłe i miękkie. Noc spokojnie oddycha i leży bezwładnie nad ziemią, znużoną upałem.

W taką noc dusza Diny jak wosk topnieje. Zdaje się jej, że straszny ciężar rozpiera pierś i ogarnia ją gwałtowna chęć zrzucić wszystko, co ją dławi i dusi — i odetchnąć swobodnie pełnemi płucami.

Drżący, niebieskawy blask księżyca rozdrażnia ją. Dina mimowoli zamyka powieki... gorący, wonny wietrzyk muska jej twarz, jak gdyby czyjeś spragnione usta dotykały jej ust, jak gdyby ciepła dłoń muskała jej plecy. Serce drży w nieświadomem oczekiwaniu, a duszę ogarnia niezmierna, ostra tęsknota...

Dina powoli otwiera ociężałe powieki i znowu widzi wprost w nią wpatrzoną tajemniczą, migocącą, niebieskawą tarczę.

Usta rozchylają się i szepcą bezwiednie: „Chaim!".

I zdaje jej się, że szept ten cichy, namiętny rozbudził sen letniej nocy, że noc drgnęła, ocknęła się i cicho szepce: „Chaim!".

„Chaim!" — powtarza lekki wietrzyk i dźwięk ten unosi daleko, daleko...

„Chaim! Gdzieżeś ty luby! Czy zobaczą cię kiedyś oczy moje spłakane?" Usta jej spieczone, w jakiemś zapomnieniu szepcą słowa, wyrywające się z głębi strapionego serca.

Lecz Dina otwiera błędne oczy i przypomina sobie, gdzie jest. Opiera się mocniej o deski; — nagle ogarnia ją chęć położyć się na wznak, zakryć się chustką, patrzeć w niebo i dumać bez końca.

Widzi szerokie, błękitne sklepienie, które jej przypomina takie same błękitne, bezbrzeżne i głębokie morze. Prawda, że morza nigdy nie widziała, ale w wyobraźni obraz jego majaczy.

Ogromny okręt o masztach wysmukłych szybko żegluje w tę błękitną noc, po błękitnych falach. Ten okręt przywiezie jej Chaima, albo ją samą do niego przeniesie.

Na całym świecie Bożym niema teraz dla niej nic potężniejszego nad morze i okręt.

Dina leży wpatrzona w niebo.

W pobliżu księżyca kołysze się jasna, srebrzysta chmurka, powoli płynie, jak okręt.

Dinie zdaje się, że unosi się w górę i płynie razem z tą chmurą... że przepływa morze... że przypływa do lądu...

Znikł gdzieś domek Mendla, znikła ciasna izdebka — niby mroczne wspomnienie o nędznem, samotnem istnieniu, zdala od „niego" — o chwilach ciężkich, gdy jej gorąca młodość burzyła się i marniała bezpowrotnie.

Trzy lata zaledwo przeszły od dnia jej wesela, półczwarta od szczęśliwych czasów narzeczeństwa!

Niedawno jeszcze była młodą dziewczyną, z duszą pełną tajemniczych i czystych marzeń o szczęściu... Trzy tylko lata przeszły i wszystko pierzchło jak sen, po minionem szczęściu zostało dwoje osieroconych dzieciaków i szufladka listów.

Chaim! Jej Chaim! Jaki on blizki jej sercu — i jak nieskończenie — daleki! Tylko listy upragnione, oczekiwane listy wskrzeszają obraz jego w pamięci, ruchy jego, głos.

Tak, szuflada pełna listów!

Oto pierwsza paczka, na różowym papierze, z błękitnymi bławatkami; codziennie pisywał, będąc narzeczonym.

Druga paczka. Listy te pisał zaraz po weselu, z lasu, gdzie służył za leśniczego. Na prostym papierze bez kwiatuszków, słowa, pełne namiętności, szału i tęsknoty — pismo pośpieszne, nierówne, jakby śpieszył i wracał ku niej...

Wrócił, kiedy Szymek się rodził i na czas pewien został. Potem znowu pojechał na posadę i znowu poczęły się listy... i aż do Wielkiejnocy. Wówczas powrócił i został już w domu — nie było dokąd jechać.

I znikła ich radość i znikło szczęście!

Napróżno prosił o pracę. Ograniczona sfera osiadłości opasała ich żelaznem kołem. Poszukujących roboty były masy — pracodawców mało. Więc zmuszony był szukać szczęścia daleko — hen, za oceanem.

Rok przeszedł, jak rośnie czwarta paczka listów. Teraz papier się zmienił. Ciężki, sztywny i twardy; pismo również się zmieniło, stało się równe, spokojne — jak u człowieka, który zmęczył się, upokorzył i zobojętniał.

* * *

Dina spojrzała znowu na niebo.

Księżyc począł już tonąć i znikać w błękicie. Pociemniało nieco, przycichło, stało się lżej jakoś. Przyroda cała zamilkła w trwożnem, tajemniczem oczekiwaniu.

Łagodna i przejrzysta noc nadaje wszystkim przedmiotom miękkie, fantastyczne kontury.

Na stare, zapadłe, poczerniałe domki, niedbale rozsypane na ciemnem tle ciepłej jeszcze ziemi, lekko i łagodnie spływają fale niebieskich promieni księżyca.

— Chaim — szepczą spieczone usta Diny. — Chaim, gdzie jesteś teraz — teraz kiedy wszystko kocha, marzy i tęskni?

Poczyna jej się marzyć olbrzymie, gwarne miasto, ulice zalane olśniewającem światłem i ogromny potok ludzki, napełniający ogrody i bulwary.

— Gdzież „on" teraz — myśli Dina. — Czy pośród wesołego tłumu, czy też jak ona siedzi gdzieś na deskach nędznego domku, głuchej uliczki, wpatrzony również w blasku księżyca i wspomina biedną izdebkę u stolarza Mendla?

Ciągle jej pisze, pociesza, błaga, by nie traciła nadziei, że znowu będą razem — ciągle razem. I mieszkanko będą mieli czyste, ładne — nie tę biedną izdebkę; sprzęty tam będą nowe, piękne.

Dina będzie gospodynią, jak się patrzy.

Tak jej pisze. Lecz kiedy to nastąpi. Kiedy wreszcie dzień jej zbawienia nadejdzie?

Dina porwała się z miejsca. Tęsknota ogromna, niezmierna, do obłędu podobna, ścisnęła jej pierś! Zda jej się, że z pięknością tej nocy, z jej czarami — skończy się młodość, skończy się jej życie. Że nastąpi jutrzejszy dzień, dzień upalny i długi, ogarnie ją znów smutek i znużenie... Że długie noce wlec się będą jedna po drugiej — noce ciemne, dżdżyste, a ona zestarzeje się bezsilna i zniechęcona.

Wówczas ucichnie tęsknota za Chaimem, wówczas zadowolni się listami, a może nawet i listów tych pragnąć przestanie. I ból nią zaszumotał, oburzenie i gniew.

Daleka chwila jej zbawienia, daleka! Daleka droga do Chaima, daleka! Ocean ich dzieli. Ocean cichy, głęboki i błękitny, jak to niebo, gdzie teraz płynie, tonie i znów wypływa, patrzący na nią smutnym, niemym i bolesnym wzrokiem, księżyc.

Czy skończy się to wreszcie? Kiedy, kiedy? pyta Dina z rozpaczą milczącej, niemej nocy. Pragnie teraz, by wszystko runęło i nastąpił koniec wszystkiemu, wszystkiemu.

Szał ją ogarnia, ogień pożera, drżącemi rękami zrywa z siebie chustkę, i zdaje się, że wyrwałaby serce swe z piersi, by tylko módz zgasić to, co tak silnie w niej płonie.

Dina w omdleniu opada na deski; zmęczony zwrok zwraca ku niebu, gdzie nagle uczyniło się ciemno, smutno, ponuro.

Czy nie tam ten tajemniczy kraj, gdzie „on" się znajduje? Nie, teraz ona nie chce jego przyjazdu, ona boi się jego, boi się nędznej chałupy Mendla, skąd pociągnęłoby go znowu w dal.

Lepiej już jej popłynąć do niego, popłynąć z chmurami ciepłej letniej nocy.

* * *

Wionęło chłodem. Pociemniało. Księżyc uśmiechnął się łagodnie, ukłonił się grzecznie i znikł z horyzontu, a na jego miejsce zjawiła się smętna, szara chmura, która smutnie i cicho zawisła nad domkiem starego Mendla.

Po stronie przeciwnej zajaśniał złotawy brzask. Domek Mendla stoi jak zaczarowany, a przez zawarte okienko skrzy się słabe światełko.

Dina przypomina sobie o dzieciach. Jakie one słabe i bledziutkie. Głęboka tkliwość budzi się w jej sercu. Poczuła się winną, zostawiła same, porzuciła. Alboż to ich nie kocha? Alboż nie oddana im duszą i ciałem.

— Skarby moje — szepcą jej usta. — Perełki...

Brzask rozprzestrzenia się coraz szerzej i szerzej, rumieni się coraz mocniejszą purpurą, błyszczącą rąbem złocistym.

Mały domek stoi w ponurem milczeniu; przez zamknięte okiennice przeciska się wązka smuga światła.

Powietrze świeże i chłodne. Wietrzyk zerwał się, przeleciał przez deski i wionął w twarz kobiety.

Dina nadsłuchuje... Zdaje się, że Rejzule się budzi i szuka usteczkami piersi, że Szymek przez sen prosi: „Mama pić..."

Tak, tam w tej małej izdebce woła ją żywe życie ze swojemi drobnemi, lecz silnemi żądzami. Dina wstaje ociężale i chwiejącym się krokiem idzie ku domowi.

Świta...

Wiatr miota się po podwórku i zmiata wszystko, co znajdzie na swej drodze.

Pochwycił strzępy cichych, sennych jeszcze obłoków i poniósł je daleko, daleko.

Pochwycił ciche westchnienie kobiety i uniósł je tam, gdzie, być może, znikły też kiedyś jej jasne, dziewicze marzenia o szczęściu...

Drobne ogłoszenia

po 4 halerzy od wyrazu. — Najmniejsze ogłoszenie 40 h.

Kto życzy sobie umieścić lub przyjąć ucznia lub uczennicę na stancyę niechsię natychmiast zgłosi do **Uczelni dla studentów szkół średnich przy placu Akademickim 3, II. p.** 1321

Kto zapisuje synów i córki do gimnazyum lub szkoły realnej, a pragnie zapewnić im doskonałą pomoc w nauce niech natych miast spieszy zapisać ich na naukę popołudniową w **Uczelni dla studentów szkół średnich przy placu Akademickim 3, II. p.** Nauka od 3 — 8 wieczór. Do każdego przedmiotu osobny nauczyciel z uniwersyteckiem wykształceniem. Opłata od 5—15 K miesięcznie za przedmiot. 1320

Posady jako bona do dzieci lub do gospodarstwa domowego poszukuje młoda panienka z dobremi rekomendacyami. Oferty uprasza pod „Klementyna K." do Administr. Gońca.

Zaraz do wynajęcia dwa mieszkania po trzy pokoje z kuchnią i przynależytościami w parterze — w tem wielki salon razem lub oddzielnie we willi ul. Zamkowa l. 19. Bliższa wiadomość na miejscu lub w kancelaryi ul. Kopernika l. 12, I. p.

Kawaler młody i przystojny, kupiec, posiada majątek 10.000 koron poszukuje tą drogą panny młodej, inteligentną z odpowiedniem posagiem. Na anonimy nie odpowiada. Dyskrecya zapewniona. — Listy pod JJ. M. do Administracyi Gońca. 1326

Kilku młodych robotników fabryczno-cukierniczych, oraz chłopców, znajdzie zajęcie zaraz. — Fabryka Stanisław Gurgul w Jarosławiu. 1327

Posługaczka trzeźwa i pracowita znajdzie zatrudnienie od godziny 8-ej rano do 3-ej popołudniu, za dobrem wynagrodzeniem. Rozumiejąca język niemiecki ma pierwszeństwo. Wiadomość: Kossowski, Akademicka l. 22, I. p. Nr. drzwi 9. 1319

Sprzedam sklepik z powodu wyjazdu, ulica Piekarska 15. 1335

Zginął pudel (suczka) z obroznąa, wabi się „Tosca". Znalazca otrzyma 10 kor. nagrody, ul. Pełtewna 11 u dozorcy. 1334

PRACOWNIA, RUSZNIKARSKA Szadkowski & Kopczyński Lwów, pl. Bernardyński 3. poleca broń myśliwską i wszelkich systemów.

Poszukuję pokoju z kuchnią w pobliżu teatru miejskiego. — Zgłoszenia do Administr. Gońca pod „Poszukuję". 1339

Sklep z trafiką jest do sprzedania pod korzystnymi warunkami. Pośrednikiem Michał Czmyr, ul. Domsa 1. 1340

Przyjmę zaraz kilku zdolnych pomocników ogrodników. Antoni Klimowicz, Lwów. 1284

Czeladników stolarskich do robót meblowych — poszukuje Adolf Arendz, Lwów, ul. Kazimierzowska 35. 1316

Mężczyzna, kawaler, młody, przystojny, przemysłowiec, ożeni się z panną lub wdową, która pomoże mu do założenia samoistnego interesu. — Zgłoszenia do Administr. Gońca pod „Przemysłowiec".

10 zł. miesięcznie zupa, pieczeń i legomina **Skulski, Teatralna 16.**

Kto poszukuje miejsca lub ma wolne miejsce do obsadzenia, kto chce co kupić lub sprzedać, niech to uczyni za pomocą drobnych ogłoszeń w „Gońcu Polskim" — jedno słowo kosztuje 4 h, najmniejsze ogłoszenie 40 h. Pieniądze można przysyłać w markach pocztowych.

FIRMA ISTNIEJE 36 LAT.

KIELICHY SREBRNE

prawdziwe lyońskie zawsze na składzie w wielkim wyborze.

J. Dąbrowski Lwów ul. Hetmańska 4. 959-1

Realista V. klasy poszukuje lekcyj z szkół ludowych, wydziałowych i z niższych klas realnych, najchętniej za wikt lub mieszkanie. W. Klawicki, ul. Szeptyckich 56, Lwów.

KASY ogniotrwałe

znakomitej konstrukcyi poleca I-sza krajowa **FABRYKA KAS —OGNIOTRWAŁYCH— Wojciecha Kosiby i Wł. Chudzikowskiego, Lwów** ulica Na Błonie 22. 1143

HEROLD POLSKI

bogato ilustrowany Tygodnik familijny **wychodzi co soboty Egzemplarz 10 hal.** Współpracownictwo pierwszorzędnych sił literackich i artyst.

Realista VI. klasy poszukuje z początkiem roku szkolnego lekcyi we Lwowie za wikt i stancyę. Faranowicz, Stanisławów, — ulica Zabłotowska l. 35.

C. I K. DOSTAWCY NADWORNEGO 22

HAYA PUDER ANTISEPTYCZNY przez powagi lekarskie polecany, jest najlepszym proszkiem do zasypywania dla niemowląt i dzieci. — Prawdziwy tylko z marką „Opatrzność". Cena pudełka 70 h.

HAYA MYDŁO HYGIENICZNE jest najlepszym mydłem do mycia dzieci. Sporządzone z materyałów najdelikatniejszych, odpowiada najwybredniejszym wymogom hygieny. — Cena pudełka 70 hal.

Tysiące podziękowań! Ostrzega się przed naśladownictwami! W każdej aptece i drogueryi do nabycia! Żądać należy wyraźnie! „HAYA" pudru antiseptycznego. „HAYA" mydła hygienicznego. Główny skład wysyłkowy **S. HAY, aptekarz, c. i k. dostawca nadworny we Lwowie.**

Okazya! Pozostałe towary z dawnego lokalu

Kołdry — po kor. 4, 7 i 9. Wełniane i kitowe po kor. 10, 12, 14, 16, 20 do kor. 30. — Jedwabne atłasowe po kor. 22, 28, 30 i wyżej. Ogromny wybór materyi meblowych, dywanów, chodników, portyer, firanek, kap na łóżka itp. — Łóżka żelazne od najtańszych. Kompletne sypialnie, jadalnie i meble salonowe — polecają 903 **J. Schuster i K. Toczyski** Lwów ul. Trzecia Maja 5.

M. BICK Pracownia rymarsko-siodlarska we Lwowie Karola Ludwika 29. Przyjmuje wszelkie reperacye w zakres ten wchodzące po cenach najtańszych. Wielki wybór używanych uprzęży i siodeł.

Józef Haberman specyalista strzyżenia włosów Lwów, ul. św. Mikołaja l.

Meble gięte! — Bracia Tercyarze św. Franciszka, posługujący ubogim, we Lwowie, ul. Kleparowska l. 15. Przyjmuje się do naprawy wszelkiego rodzaju meble gięte lub stylowe i rozności się naprawione, lub nowo zakupione, do miejsc przeznaczenia. Ceny umiarkowane, robota staranna.

Ochraniaj twoją żonę! Najważniejsza ilustrowana książka o nadmiernem błogosławieństwie potomstwem. — Tysiące pism dziękczynnych wysyła dyskretnie po nadesłaniu 90 hal. w markach pocztowych pani ANNA KAUPA, Berlin S. W. Lindenstrasse 50. 639

Wysprzedaż z powodu nagromadzenia towaru, jako to: sypialnie, jadalnie, salony, stoły, łóżka i t. p. również antyki w Publicznej Hali Aukcyjnej pasaż Mikolascha. 504

Kilka Lokali na sklepy w Pasażu Mikolascha zaraz do wynajęcia. Wiadomość w Zarządzie Pasażu. 1337

Skład Obrazów, Ram M. KUCZABIŃSKI WE LWOWIE, UL. CZARNIECKIEGO 2. **i Galanteryi.**

Jutrzenka Polska

pismo dwutygodniowe ilustrowane ◆ nauce i rozrywce młodzieży poświęcone, wychodzi we Lwowie rok trzeci ◆◆◆ pod redakcyą: **Stanisława Tokarskiego.**

Jutrzenka Polska

zawiera w części literackiej: Opowiadania historyczne, powieści, podróże, wiersze, komedyjki, pogadanki, zabawki naukowe, zagadki, rebusy szarady i t. p. wszystko w formie przystępnej, o treści religijnej, katolickiej, polskiej. Do każdego numeru „Jutrzenki Polskiej" bezpłatny dodatek p. t. „Moja książeczka", dla młodszej dziatwy przeznaczony. Do każdego numeru dodatek powieściowy. Ilustracye najlepsze pierwszorzędnej wartości

Prenumerata roczna 6 K 80 h, półroczna 3 K 80 h, razem z przesyłką pocztową. ◆ Adres Redakcyi i Admin.: Lwów, ul. Hausnera l. 7.

Maniszewski i Meinhart

Księgarnia i Skład nut we Lwowie pl. Halicki 3 poleca

Tokarski St. Na wzburzonej fali, powieść współczesna. K 3·—, z przesyłką 3·50.

Tokarski St. Lustracye. — Kartki z pamiętników inspektora szkolnego. — K 1·—, z przesyłką 1·20

Tokarski St. Opiekunowie. Kartki z pamiętników inspektora szkolnego. — Serya II. K 1·20, z przesyłką 1·40.

Kabarowski Wł. Ze Lwowa do Rzymu z pielgrzymką młodzieży polskiej z ilustracyami. — **Cena egz. oprawnego K2·— z przesyłką 2·50. Książka polecona przez c. k. Radę szkolną krajową na nagrody pilności.**

Welfe H. Powrót taty. — Ballada Adama Mickiewicza jako obrazek sceniczny dla dzieci w 2-ch odsłonach 30 h, z przesyłką 40 h.

Moja książeczka. 17 powiastek i wierszyków dla małych dzieci, w oprawie 80 h.

Jutrzenka Polska. Czasopismo ilustrowane dla dzieci i młodzieży. Rocznik 1906 w pięknej płóciennej oprawie K 8, z przesyłką 8·80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Katalogi na żądanie gratis i franko. Zamówienia z prowincyi uskutecznia księgarnia odwrotną pocztą.

15 CIĄGNIEŃ rocznie ma następująca grupa:

1 los austr. Cz. Krzyża
1 los węg. Czerw. Krzyża
1 włoski Czerw. Krzyża
1 los węg. Bazylika-Domb.
1 los serbski tytoniowy
1 los węg. Joszív

razem sześć losów za 224 koron w 321 ratach po 7 koron miesięcznie.

Pierwsza rata wraz z stemplem i dodatkiem wynosi 10 K

4 korony kosztuje całoroczny abonament „Gazety handlowej" wraz z roczn. finansowym.

Prosimy zażądać naszego Kalendarzyka bankowego który przesyłamy darmo i opłatnie.

Dom bankowy i kantor wymiany **Schütz i Chajes** Lwów, plac Maryacki 7.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: STANISŁAW BRANDOWSKI. WYDAWCA: STANISŁAW TOKARSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI NIEJAWNEJ.

Z DRUKARNI »GOŃCA POLSKIEGO«, TOKARSKI & BRANDOWSKI, POD ZARZĄDEM KAROLA DOROSZYŃSKIEGO.